

ISSN 2084 - 0810

MŁODZI EKUMENIZM BÓG

nr 36 kwiecień 2014

PROSTO Z MOSTU

CUDA
W
KOŚCIELE

Wywiady:
z Floribeth Morą Diaz,
osobistym sekretarzem
Jana Pawła II
i Szymonem Hołownią

Pascha w Kościele
greckokatolickim

Gdzie te kobiety, prawdziwe takie...

Dajcie nam księdza!





TEMAT NUMERU: CUDA W KOŚCIELE

14

ZNAKI KRÓLESTWA BOŻEGO

16

CUD ŚWIĘTEGO OGNI

19

CUDOWNY JEST TYLKO BÓG

34

FLORIBETH MORA DIAZ:

USŁYSZAŁAM „PODNIĘŚ SIĘ.

NIE LĘKAJ SIĘ”



ZAKONY

23

DAJCIE NAM KSIĘDZA!

SPIS TREŚCI



ROZMOWY PROSTO Z MOSTU

10

TAK ZACZYNAŁO SIĘ

CHRZEŚCIJAŃSTWO

21

PAPIEŻ PRZYJECHAŁ TU DO SWOICH

POZOSTAŁE ARTYKUŁY

4

GDZIE TE KOBIETY,
PRAWDZIWE TAKIE...

6

PASCHA W KOŚCIELE

GRECKOKATOLICKIM

25

DLACZEGO WŁAŚCIWIE BIEGASZ?

28

FUNDAMENT ŻYCIA

CZ.2 - CEL STWORZENIA

30

ROZMOWA O MIŁOŚCI, ŚMIERCI I ŻYCIU

32

POMORSKA DROGA ŚWIĘTEGO

JAKUBA I JEJ WYZWANIE EKUMENICZNE

Wyjść na duchową pustynię

Ciekawe, czy macie tak czasem, że czujecie totalną duchową pustynię w sercu. Poczucie bezsensu tego, co robicie, albo bardziej tego, w co lub kogo wierzycie. Myślę tu nie tylko o wierze w przyjaźń, miłość, w ludzi, których znacie, albo wydawało się wam, że znacie. Myślę o wierze w Boga, w rzeczy widzialne i niewidzialne, uczynione ręką Stwórcy. Często mądre głowy tego świata próbują podważyć to, co po ludzku niewytłumaczalne, a tym bardziej, kiedy podaje się do tego – wydawałoby się – racjonalne argumenty. Wiary, jako daru i łaski, nie da się jednak podważyć. Możemy wdęptać kogoś w ziemię masą, wydaje się, logicznych powodów, dla których nie powinien wierzyć. Jaką pewność będziesz miał po zgromieniu takiej osoby, że masz rację? Wydaje mi się, że żadnej. To właśnie na duchowej pustyni, czasem możemy dostrzec to, czego nie widzieliśmy wcześniej. Wydaje mi się, że to tam dzieją się największe cuda.

W tym numerze o cudach, które znowu jako chrześcijanie różnych wyznań rozumiemy inaczej. Do tego, że cuda są możliwe spróbuje nas przekonać Floribeth Mora Diaz – jej uzdrowienie uznano w procesie kanonizacyjnym bł. Jana Pawła II.

Czy możemy i powinniśmy oceniać wiarę innych? O tym w rozmowie z Szymonem Hołownią. Kardynał Dziwisz odpowie, dlaczego nie spalił prywatnych zapisków papieża Jana Pawła II. Czy w Kościele kobiety głoszą za mało rekolekcji i konferencji? Czy bieganie ma coś wspólnego z wiarą? O tym wszystkim w kwietniowym „Prosto z mostu...”. Zapraszam

Piotr Kołodziejski

Idea gazety jest dialog międzywyznaniowy w ramach chrześcijaństwa. Oprócz tematów religijnych młodzi ludzie i duchowni różnych wyznań piszą teksty z pogranicza tematyki społecznej, kulturalnej, sportowej. Cały czas czekamy na kolejnych „ekumenicznych”. Chcesz dołączyć do Nas? Odezwij się na: ekumeniczni@wp.pl

Autorzy

Paulina Bielecka, Basia Chojnacka, Anna Malec (Warszawa),
Iwona Marciszak (Stargard Szczeciński),
Ewa Smutek (Warszawa),
Katarzyna Szylak, Magdalena Żukowska,
Jarosław Kaczmarczyk, Maciej Papke, o. Maciej Biskup OP,
o. Grzegorz Ginter SJ, ks. Marcin Sęk TChr (Poznań),
ks. Mariusz Sokołowski SChr (Bochum, Niemcy),
ks. Mariusz Wenclawek SDB

Zastępcy redaktora naczelnego

Ewelina Dmitrowicz (Warszawa)
Małgorzata Moraczewska

Redaktor naczelny

Piotr Kołodziejski

Adres redakcji i wydawnictwa

ul. Królowej Korony Polskiej 28e
70-485 Szczecin

Kontakt z redakcją

ekumeniczni@wp.pl
konto na facebooku:
<http://www.facebook.com/ekumeniczni>
Archiwalne numery do zobaczenia na: radioszczecin.pl/religia
Proszę zeskanować kod QR

Skład

Robert Żak
robert.zak@wp.pl

Korekta

Paulina Filutowska

Konsultacja teologiczna parafii rzymskokatolickich:

ks. Lucjan Chronchol
prawosławnej:
ks. Paweł Stefanowski
ewangelicko-augsburskiej:
ks. Sławomir Sikora

Wydawca

Fundacja „Szczecińska”
www.szczecinska.eu



GDZIE TE KOBIETY, PRAWDZIWE TAKIE...

Tekst

Ewelina Dmitrowicz

Duszpasterstwo Akademickie „W Sercu” u chrystusowców

Upłynęło już sporo czasu od moich pierwszych doświadczeń z udziału w rekolekcjach, konferencjach, spotkaniach itp., organizowanych dla młodzieży i studentów przez duszpasterstwa. Po ośmiu latach, oprócz wdzięczności za wiele dobrych i mądrych słów, które mogłam usłyszeć, muszę przyznać, że czuję zmęczenie. A dokładniej - mam już dość wysłuchiwania facetów! To znaczy - tyłu już Was w kościele słyszałam, kochani Panowie, że czuję przesył. Brakuje mi głosu kobiet! Pytam: Gdzie te baby?

Moja relacja z Kościołem nie jest beznamiętna. Jak się czasem ziryтую, to nie spocznię, póki jakiś brat lub siostra w wierze mnie nie wysłucha, nie przytaknie i nie poprze, nie pomyśli razem ze mną, jak zaradzić tej palącej sprawie, która mnie dotknęła. Nie ukrywam, że najczęściej na gadaniu się kończy, przeważnie znajduje się siostra, z którą całą rzecz szczegółowo przedyskutujemy, ona dorzuci jeszcze swoje trzy grosze na poparcie mojej tezy, a wtedy od razu jest mi lepiej. Gorący temat pomału odpływa w niepamięć, a moja porywcza dusza jest już spokojniejsza. Niektórych poruszających serce spraw jednak przegadać się nie da. Zwłaszcza, że problem powraca. Tak było też w przypadku pytania o kobiety.

Zawiodłam się na kilku katoliczkach, świeckich i zakonnych, także na sobie (strach pomyśleć, ile zawiodło się na mnie). Przykład? Mieszkając przez rok jako studentka w klasztorze z siostrami zakonnymi, spotkałam się z postawami, które rodziły we mnie i innych dziewczynach bunt. Nie było to żadne wielkie i ewidentne zło, żadna poważna krzywda, jednak coś – nie bez powodu – się nie podobało, czasem nawet zasmucało. Ale, czy któraś z nas chociaż raz zdobyła się na to, żeby powiedzieć: „Siostrzo, to nie jest dobre”. W sztuce obgadywania natomiast ćwiczyłyśmy się znakomicie. Wstyd miłe Panie. Gdzie była nasza odwaga, wszak to przymiot właściwy nie tylko orłom, sokołom, herosom...

Czas płynął, a Pan Bóg uczył przebaczać sobie i innym. Powracało jednak nurtujące mnie pytanie o kobiety: żony, matki, zakonnice, katoliczki robiące dużą karierę zawodową. Odczuwanie braku rekolekcjonistek przeradzało się stopniowo we wzrastający buntowniczy nastrój, gdy po raz kolejny brałam

udział w spotkaniach, na których o roli mężczyzn, mężów, ojców, ale też – a jakże – kobiet, żon, matek, mówili – a jakże! – pewni siebie, w większości wzbudzający sympatię, spełnieni zawodowo i rodzinnie mężczyźni... Nie twierdzą, że mówili bzdury. Nie o to chodzi. Pewnie nie irytowałabym się tak bardzo, gdyby nie inna rzecz. W czasach, kiedy feministyczne, proaborcyjne lobby jest tak silne, a zawzięcie walczących z Kościołem i z pasją punktujących jego błędy kobiet aktywistek jest coraz więcej, brak pań na mównicach wydaje się dużą stratą. Panowie z kolei zazwyczaj nie omieszkają zabawiać publiczności przerysowanymi żarcikami o emocjonalności kobiet, prezentując je często jako istoty infantylne, albo żenującymi dowcipami, mającymi obalić ideę feminizmu: „feminizm kończy się wtedy, gdy trzeba wnieść lodówkę na piąte piętro!” – klasyk. Feministki zdemaskowane, publiczność zadowolona. Tymczasem o te kobiety Pan Bóg też chce walczyć, też je kocha, szuka ich i potrzebuje. Ja wiem, nikt nie powiedział, że nie. Ale jestem przekonana, że to zdecydowanie za mało. Poza tym, kiedy kolejny raz widzę, jak feministki dostają argumenty na poparcie swoich tez o tym, że patriarchalny Kościół utwierdza ludzi w stereotypach na temat kobiecości i męskości, to zapala mi się czerwona lampka.

Tak było też kilka tygodni temu. Dlatego kiedy zadzwonił Naczelny, pytając, o czym napiszę następnym razem, z właściwą sobie namiętnością odpowiedziałam: „O tym, że mam już po dziurki w nosie wybrakowanych świadectw! Bo za wybrakowane uważam wystąpienie mężczyzny robiącego wykład o rodzinie bez towarzystwa osoby, z którą tę rodzinę tworzy – bez towarzystwa kobiety, której punkt widzenia jest inny, nawet, jeśli w pełni zgadza się z mężem. Jej opowieść byłaby inna, jej rady sformułowane inaczej. Uzupełnialiby się. Uważam, że studenci i studentki potrzebują posłuchać zarówno mężczyzny, jak i kobiety, zobaczyć, że oboje są szczęśliwi i zgodni, inaczej świadectwo nie jest wiarygodne”.

I tak doszłam do momentu, w którym najlepiej na świecie wiedziałam, czego potrzebuje Kościół. Byłam pewna, że brakuje mu publicznej, nauczycielskiej działalności kobiet. Dryfując na wzburzonym jeziorze zdenerwowania na dominację głosu mężczyzn i złości na bierność usuwających się w cień kobiet, zaczęłam się trochę więcej modlić. I Pan Bóg, który naprawdę się troszczy i najlepiej wie, czego nam potrzeba, uciszył burzę. Dla mnie to cud – a właściwie kilka cudów na raz (On dobrze wiedział, z jak opornym materiałem ma do czynienia).

W krótkim czasie, dane mi było poznać w duszpasterstwie akademickim znaną polską himalaistkę, która na spotkaniu zorganizowanym specjalnie dla pań, opowiadała o swojej pasji, życiu, doświadczeniu wiary – swojej i wielu ludzi różnych narodowości, których poznawała w trakcie wypraw. Następnie miałam

okazję zobaczyć uśmiechniętą żonę i mamę pięciorga dzieci, gdy podpisywała z mężem książkę, którą wspólnie napisali na podstawie swoich doświadczeń. Później była konferencja niesamowitej, utalentowanej i bardzo aktywnej na wielu polach siostry zakonnej, a na deser rekolekcje, na których o rodzinie opowiadało małżeństwo i wiadomość ze Szczecina, że u chrystusowców również para małżeńska prowadziła rekolekcje dla studentów.

Już nie pytam, gdzie te kobiety. Dostałam wyraźny sygnał, że jest ich wiele. A jako że wciąż kwestia ich udziału w przeróżnych aspektach życia społecznego jest bliska mojemu uspokojonemu już sercu i wydaje mi się bardzo interesująca, od przyszłego miesiąca w „Prosto z mostu...” zajmę się redakcją kącika „Sylwetki pięknych kobiet”.

PASCHA W KOŚCIELE GRECKOKATOLICKIM

Tekst

Iwona Marciszak

parafia Cerkwi Greckokatolickiej

pw. św. Jozafata w Stargardzie Szczecińskim

„Spełniwszy pożyteczną dla dusz Czterdziątnicę, prosimy o ujrzenie Świątego Tygodnia Twojej Męki, Przyjacielu człowieka, aby wysławiać w nim wspaniałość Twoją i niewypowiedzianą Twoją Opatrzność względem nas, jednomyślnie śpiewającym: Panie, chwała Tobie. Spełniwszy pożyteczną dla dusz Czterdziątnicę, zawołajmy: Raduj się, miasto Betanio, ojczyzno Łazarza. Radujcie się, Marto i Mario, jego siostry, bowiem jutro przyjdzie Chrystus ożywić słowem zmarłego brata. Gdy usłyszawszy gorzka i nienasycona otchłań usłyszysz Jego głos, zadrży ze strachu i bardzo zajęczawszy wypuści Łazarza związanego przepaskami. Zobaczywszy ten cud zgromadzenie hebrajskie zadziwi się i z palmami oraz gałązkami spotka Go, i ukążą się sławiące dzieci, którym zazdroszczą ojcowie.
Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie, Król Izraela.”

Koniec Wielkiego Postu – Czterdziątnicy przypada w Kościołach wschodnich na Sobotę Wskrzeszenia Łazarza. Teraz następuje intensywny czas oczekiwania – Wielki Tydzień, który codziennie, poprzez swoje hymny, przybliży nam



Fot. Iwona Marciszak

Paschę Chrystusa. Każde słowo, każda fraza nabożeństw Wielkiego Tygodnia to głęboka teologia odkrywająca przed nam to, co najistotniejsze w chrześcijaństwie – zmartwychwstanie naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Już troparion Soboty Łazarza przybliży nas ku radości, ten sam troparion śpiewany jest również w Niedzielę Palmową:

„Powszechne zmartwychwstanie przed swoją męką uwiarygodniając, z martwych wzbudziłeś Łazarza, Chryste Boże, przeto i my, jak hebrajskie dzieci, niosąc symbole zwycięstwa, śpiewamy Ci, Zwycięzco śmierci: Hosanna na wysokościach! Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie!”

Wejście do Jerozolimy jest jednym z najważniejszych świąt w Kościele greckokatolickim, poświęca się wtedy żywe zielone gałązki, a nie suszone kwiaty. Jest to symbol życia, które przynosi Chrystus; życia nowego i świętego. Wspomnienie w liturgii tego święta dzieci obecnych podczas Wjazdu Chrystusa, oznacza prostotę, czystość i otwartość. Otwartość na tajemnicę, którą już niedługo mamy przyjąć.

W Wielki Czwartek przeżywamy ustanowienie Eucharystii, wieczorem zaś czytane jest 12 fragmentów Ewangelii mówiące o męce Chrystusa, tzw. Strasti Chrystowi.

W Wielki Piątek następuje wystawieni całunu – płaszcznicy. Jest to tkanina, na której na wzór całunu z Turynu przedstawione jest martwe ciało Chrystusa. Wierni podchodzą na kolanach (często już od progu świątyni), całują rany Chrystusa, czuwają przy symbolicznym grobie. Podczas nieszporów u grekokatolików w Wielki Piątek odbywa się trzykrotna procesja dookoła świątyni z płaszcznicą, którą podczas procesji niosą kapłani lub starsi parafianie. Na Zakarpaciu płaszcznicę niesie kapłan na plecach, trzymając ją rękoma nad głową, pozostałe dwa końce unoszą wierni. Procesja wokół cerkwi odbywa się tylko jeden raz. Troparion, powtarzany za każdym razem podczas modlitwy przy płaszcznicy, aż do sobotnich wieczornych nabożeństw, brzmi: „Dostojny Józef z drzewa zdjął przeczyste Twoje ciało, całunem czystym owinął i wonnościami namaściwszy w nowym złożył grobie”.

Grekokatolicy tego dnia zachowują ścisły post, powstrzymują się nie tylko od pokarmów mięsnych, lecz także od nabiału lub w ogóle nic nie jedzą aż do zachodu słońca. Cechami charakterystyczną nabożeństw Wielkiego Piątku i Wielkiej Soboty są przenikające się smutek i radość. Radość ta wynika z zapowiedzi zmartwychwstania.

„Nie płacz nade Mną, Matko, widząc w grobie Syna, którego w łonie poczęłaś bez nasienia, powstanę bowiem i wysławię się, i jako Bóg wyniosę w chwale tych, którzy nieustannie w wierze i miłości Ciebie wysławiają”.

W sobotę wieczorem kapłan sprawuje nabożeństwo nad płaszcznicą, po modlitwie uroczyste przenosi ją na ołtarz, na którym zostanie aż do Wniebowstąpienia, w tych dniach liturgie sprawowane są bezpośrednio na płaszcznicy. Wielka Sobota już przynosi radość, już tylko krok do niedzielnego poranku. Wierni, przychodząc rano do cerkwi, już nie zastają Chrystusa w grobie, Chrystus zmartwychwstał.

W Wielką Sobotę święcone są również pokarmy na wielkanocne śniadanie, jest to przede wszystkim paska – chleb wypiekany własnoręcznie (nigdy kupiony!), masło, twaróg, sól, jajka, wędlina oraz korzeń chrzanu; do koszyczka wkłada się również świeczkę, która symbolizuje Zmartwychwstałego Pana.

W Niedzielę Paschy o świcie sprawowana jest Jutrznia Zmartwychwstania, wszyscy wierni wychodzą z cerkwi, następuje procesja wokół świątyni, podczas której uroczyste niesione są: Ewangelia oraz ikona Chrystusa Zmartwychwstałego. Przy zamkniętych drzwiach cerkwi odśpiewuje się uroczyste Chrystos Woskres – Chrystus Zmartwychwstał:

„Chrystus Zmartwychwstał i swoją śmiercią zwyciężył śmierć, a pozostającym w grobach darował życie!”, po czym kapłan trzykrotnie uderza krzyżem w drzwi świątyni, dopiero wtedy wszyscy uroczyste wchodzą do cerkwi, aby

kontynuować Jutrznę rezurekcyjną. Bezpośrednio po jutrzni następuje Boska Liturgia św. Jana Chryzostoma, na której czytany jest fragment Ewangelii św. Jana o słowie – odczytywany zawsze w kilku językach na znak powszechnej nowiny zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Po mszy kapłan błogosławi specjalny chleb – Artos z wizerunkiem Chrystusa Zmartwychwstałego, chleb ten będzie leżał w świątyni cały tydzień, aż do następnej niedzieli – niedzieli św. Tomasza (imieniny nas wszystkich – wszyscy bowiem jesteśmy niedowiarkami). W tym dniu chleb zostanie rozdrobniony i rozdany wiernym. Uroczyste świętowanie Paschy trwa trzy dni, a przez cały tydzień, tzw. Jasny Tydzień, drzwi główne ikonostasu pozostają otwarte.

Uroczystości niedzieli Paschy kończy mirowanie – posmarowanie czoła wiernych olejem poświęconym w Wielką Sobotę.

W Kościele greckokatolickim Wielkanoc jest szczególnym czasem pamięci o zmarłych, kapłan odwiedza groby i niesie zmarłym nowinę o zmartwychwstaniu. W okresie od Wielkanocy do Wniebowstąpienia wierni pozdrawiają się zawołaniem: „Chrystus Zmartwychwstał”, odpowiadając: „Prawdziwie zmartwychwstał!”.

Niech Pascha Pana Naszego Jezusa Chrystusa przyniesie nam wszystkim – chrześcijanom – radość Zmartwychwstania, abyśmy w swych sercach wołali: „Radujmy się w ten Zmartwychwstania dzień! Pascha Pańska. Od śmierci do życia i od ziemi do nieba Chrystus Bóg nas przeprowadzi, śpiewających zwycięstwo... Pascha święta nam dziś zajaśniała, Pascha nowa, niepokalana, Pascha rajskie drzwi otwierająca, Pascha uświęcająca wszystkich wiernych. Pascha piękna, Pascha Pańska... Z radością obejmijmy się wzajemnie, bo Pascha to wybawienie od cierpienia, ponieważ z grobu jak z pałacu zajaśniał Chrystus, napełnił radością niewiasty mówiąc: powiedzcie to Apostołom... Rozświetlijmy się świętem, nazywając się braćmi. Tym co nas nienawidzą wybaczymy z powodu zmartwychwstania. Zawołajmy: Chrystus powstał z martwych, śmiercią śmierć zwyciężył i przebywającym w grobach życie podarował...”



Sebastian Roszkowski i Piotr Kołodziejcki zapraszają na sportową audycję w internecie „Sport w Sieci”. Ciekawi goście, wśród nich sportowcy, trenerzy, działacze i dziennikarze sportowi z innych mediów. Rozmawiamy o wydarzeniach sportowych w Szczecinie, kraju i na świecie. Na stronie również relacje on line z meczów piłkarzy Pogoni Szczecin i siatkarek Chemika Police. Zapraszamy do słuchania i czytania na www.radioszczecin.pl/sws. Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/sws92fm>

Proszę zeskanować kod QR



TAK ZACZYNAŁO SIĘ CHRZEŚCIJAŃSTWO

Rozmawiał

Piotr Kołodziej

parafia rzymskokatolicka

pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej



Kliknij QR kod i posłuchaj wywiadu
z Szymonem Hołownią na
radioszczecin.pl/religia

Czasem jest tak, że przygotowane na wywiad pytania trzeba albo w całości odrzucić, albo przynajmniej weryfikować na bieżąco podczas rozmowy. Ograniczenia czasowe, a przede wszystkim osobowość rozmówcy i jego spojrzenie na pewne sprawy, kierunkują rozmowę na zupełnie inne tory. Czasem jest tak, że przygotowując się na przeżywanie Świąt Wielkanocnych, pobożnie idziemy do kościoła, nawet kilka dni z rzędu, bo tak trzeba, bo taka jest tradycja. Dobrze, jeśli w tym posłusznym wykonywaniu obrzędów jest też potrzeba serca i chęć szukania bodźców do odkrywania na nowo sensu wiary i przeżywania jej w codziennym życiu. Czasem jednak nie potrzeba kilkunastu rekolekcji, żeby usłyszeć, że w życiu nie liczą się wyświechtane, zużyte albo nadużywane słowa, którymi próbujemy określać lub dookreślać naszą wiarę, „dawać świadectwo”. O co konkretnie chodzi? Pewnie dowiecie się tego od Szymona Hołowni, który podzielił się ze mną swoimi spostrzeżeniami kilka minut przed spotkaniem ze studentami w Szczecinie. 4 kwietnia gościł u chrystusowców w ramach Akademickiego Laboratorium Wiary, które cyklicznie organizuje duszpasterstwo akademickie.

Kilka miesięcy temu napisał Pan tekst o Jezusofobii. Mówił Pan tam też o lęku przed dawaniem świadectwa. Skąd bierze się wśród świeckich lęk dawania świadectwa współcześnie?

Ja chyba w ogóle nie za bardzo rozumiem pojęcia „dawanie świadectwa”. Wszyscy dziś mówią o dawaniu świadectwa. Myślę, że to jest kolejny termin, który żeśmy sobie, ukuli i już tak zużyli, że on tak naprawdę coś znaczy, ale nic nie znaczy. Kiedy Pan podejdzie do normalnego człowieka na ulicy i powie mu, żeby dawał świadectwo, to go od razu wyłącza. To jest jak fraza: „Umiłowani w Chrystusie Panu Bracia i Siostry”. To od razu wyłącza wszystkich normalnych ludzi. Dawaniu świadectw trzeba przywrócić sens i znaczenie. Co to znaczy dawać świadectwo? To znaczy po prostu być normalnym człowiekiem, tzn. normalnie żyć, funkcjonować, uśmiechać się, jeść, pić, chodzić, spotykać się z ludźmi, ale nie reagować jakimś kokieterijnym zażenowaniem, kiedy przychodzi do spraw religijnych i też traktować to jako zjawisko zupełnie naturalne, że

jestem człowiekiem i jestem człowiekiem wierzącym. Że nie mam się czego wstydić i to nie jest powód do jakiegoś obciachu. Jeżeli ktoś ma poczucie obciachu z tym związane, to zwykle wynika to z dwóch rzeczy, po pierwsze, że jest niedouczony, nie wie wiele o swojej wierze i boi się, że jeżeli powie coś głośno albo zostanie o to zapytany, to nie będzie umiał odpowiedzieć tym, którzy stawiają mu jakieś zarzuty lub pytania. Druga opcja jest taka, że sam w sobie ma to nieugruntowane, tzn. że on sam czuje się ze swoją wiarą niepewnie, sam czuje się niepewnie w swojej relacji z Panem Bogiem. To powoduje, że trudno jest mu o tym mówić. Jeżeli nie jesteś pewien czy związek, w którym jesteś jest udany, to nie chodzisz do znajomych i nie opowiadasz o tym związku, a pytany o ten związek, zamykasz się w sobie i się boisz.



Fot. Jarosław Gaszyński

Parę lat temu, kiedy rozmawialiśmy, powiedział Pan, że dziś być prawdziwym chrześcijaninem, to po prostu normalnie rozmawiać o wierze. Co to znaczy dziś normalnie rozmawiać o wierze? Jaki to jest język? Jaki to powinien być język mediów, świeckich?

Język życia. Może parę lat temu mówiłem, że trzeba normalnie rozmawiać o wierze, a dziś myślę, że nie ma co rozmawiać o wierze, tylko trzeba po prostu próbować żyć jak wierzący człowiek. Gadaniem świata się nie zmienia. Gadanie nie jest w cenie i tyle słów padło na temat wiary, że kolejne słowa nic do tego nie dodadzą. Słowa już zostały wypowiedziane, Jezus je powiedział, jest ewangelia, a my tylko musimy nią żyć, a nie pisać nowe ewangelie. Dziś powinno się żyć wiarą, oddychać Ewangelią, funkcjonować w świecie w zapatrzeniu w Jezusa. Staranie się by być dobrym człowiekiem, nie w znaczeniu moralnym, ale dobrym w sensie lubiącym i kochającym ludzi, afirmującym ten świat, bo to nie jest zły świat i ludzie też nie są źli. Jest dużo zła na tym świecie, ale to nie jest zły świat. Bóg nie stworzył niczego, co jest złe.

Mam wrażenie, że dziś brakuje nam najbardziej, nie głupkowatości, ale takiej spokojnej pewności, niekrzyczącej pogody ducha. Cały czas jesteśmy jacyś wzmożeni, cały czas szukalibyśmy wrogów, z kimś walczyli, a za mało jest opowiadania światu o tym, że chrześcijaństwo jest afirmacją Boga żywego, Boga w drugim człowieku, jest afirmacją dobra. Zło dobrem zwyciężaj. Nie walczy się ze złem, inaczej niż tworząc dobro.



Sala na Wydziale Budownictwa i Architektury ZUT-u wypełniła się po brzegi. Fot. Jarosław Gaszyński

Czym w takim razie różni się życie chrześcijanina od człowieka, który nie wierzy w Boga, który też jest dobrym człowiekiem i afirmuje dobro w swoim życiu?

Jeżeli sprowadzimy chrześcijaństwo do moralności, to o tym będziemy rozmawiać. O tym, że niczym się to nie różni. To znaczy, że i ten jest moralny, i ten jest moralny. Chrześcijaństwo to nie jest moralność, chrześcijaństwo to jest coś więcej. To relacja z żywym, osobowym Bogiem, to jest zakochanie, miłość. Nie zakochanie w sensie gimnazjalnym, chociaż takie elementy też się mogą w tym pojawić, ale to jest po prostu głęboka postawa miłości i relacji z drugą osobą. Jeżeli patrzy się na chrześcijaństwo w perspektywie wyniku moralnego, wówczas do niczego to nie prowadzi. Chrześcijaństwo nie jest grą moralną o to, że więcej razy nie zgrzeszę niż zgrzeszę. W chrześcijaństwie najpierw jest relacja z Chrystusem, a cała reszta z tego wynika. I zachowanie, i moralność, i sposób funkcjonowania, ale pierwsza jest relacja z Chrystusem, wpatrzenie się, bycie z Nim, oddychanie Nim. Oczywiście, że jeśli weźmiemy potem rachunek moralny i zobaczymy, że ten zachowuje się porządnie i ten się zachowuje porządnie, to można dojść do wniosku, że chrześcijanin niczym się nie różni od po prostu dobrego człowieka. Chrześcijanin ma w sobie coś jeszcze, ma nadzieję, którą daje mu Chrystus, że nie ma śmierci, że cierpienie nie ma ostatniego słowa, że będziemy żyć wiecznie, że jest dobrze w najgłębszym, egzystencjalnym znaczeniu tego słowa.

Kiedy zapytałem ojca Bashoborę o radę dla szukających Boga, powiedział przede wszystkim: „Czytać Biblię”. Jak dziś zachęcić innych ludzi do czytania Pisma Świętego, bo może często ludzie niewiele widzą w niej nowego poza tym, co mogą przeczytać w Internecie lub młodzi na profilach facebookowych?

Jeżeli Biblię traktuje się jako podręcznik do religii albo podręcznik do fizyki, albo historii religii, albo do teologii; to oczywiście, że ludzie nie będą tego czytać, bo ludzie nie czytają dziś podręczników, chyba że są na studiach. Biblia musi być

historią, którą człowiek rzeczywiście gdzieś w sobie przeżywa. Do Biblii trzeba podejść w systematyczny sposób, tzn. bez huraoptymizmu, że usiądę, przeczytam Biblię w rok i będę wszystko wiedział, ale czytając codziennie po dwa-trzy wersy, zastanawiać się, chodzić z tym, przeżuwać, kontemplować. Ja ze swojego doświadczenia wiem, że głód Biblii pojawia się w człowieku z czasem. Jeden spotyka Boga przez Słowo Boże, przez Biblię, inny przez drugiego człowieka, a jeszcze ktoś w zupełnie inny sposób. Bóg objawia się na milion sposobów. Mnie zajęło trochę czasu, żeby odkryć, że Biblia jest żywą księgą, że tam to wszystko pracuje, że to nie jest męka, ale że to jest ciekawe. Natomiast ja trochę nie wierzę w takie odgórne programy, że np. my teraz wymyślimy program, jak ludzi zainteresować Biblią albo że zrobimy program, że ludzie uwierzą w Jezusa. Ludzie uwierzą w Jezusa wtedy, kiedy zobaczą chrześcijan, którzy wierzą w Jezusa, a tych jest dziś niewiele. Takich chrześcijan jest dziś niewiele, którzy święcą, idąc po ulicy i mają w sobie taką moc i siłę nie stąd, że innym aż się chce o to zapytać, aż chce się za nimi iść. Chrześcijaństwo tak się zaczynało, że to nie były wielkie kursy biblijne i fajerwerki na Facebooku, ale jedni ludzie mówili drugim ludziom i był jeden człowiek, który żył tak, że drugi człowiek chciał go naśladować. Czy my tak dziś żyjemy? Jesteśmy tak zajęci walką ze wszystkimi wrogami, którzy nas otaczają, że zapomnieliśmy o sobie. Tak zajęliśmy się tym badaniem poziomu cukru w cukrze i chrześcijaństwa w innych, że zapomnieliśmy że przede wszystkim odpowiadamy za to, jakimi my jesteśmy chrześcijanami.

Dziękuję za rozmowę.

Mocne słowa i myślę sobie, że wiele w nich prawdy. Czasem jest je wygodnie odrzucić i wymazać z pamięci, bo zmuszają do wysiłku. Ile to świadectw człowiek nasłucha się w życiu, ale żeby swoim życiem świadczyć, to gorzej. Ile to stron Biblii przeczyta się lub posłucha w kościele, ale żeby je „przeżuwać”, rozmyślać i wprowadzać w życie... No właśnie... I ten „święcący” chrześcijanin. Wystarczy wyjść na ulicę i popatrzeć w ludzkie twarze, ale żeby nie badać tego poziomu cukru w cukrze, czasem wystarczy spojrzeć w lustro. Kiedyś jeden ksiądz powiedział mi, że lubi patrzeć na twarze ludzi po komunii świętej. Że one są jakieś inne, przeżywające to, co przed chwilą się stało. Czasem patrzę na te twarze, ale często nie widzę tego, o czym mówił tamten kapłan.

Na spotkaniu z młodymi, ciałem i mam nadzieję, że duchem, Szymon Hołownia dał też praktyczne wskazówki na przeżywanie swojej wiary. Nie wiem, na ile będą skuteczne dla Ciebie, ale warto „puścić je w obieg”. Po pierwsze – codziennie dziękuj Bogu za wszystko. Nie tylko za sukcesy, lecz także za porażki. Przecież one też w ostateczności mają prowadzić do dobra. Nie prosz, ale dziękuj. Po drugie – Eucharystia. Szukaj okazji, znajdź czas na mszę świętą, na spotkanie z Jezusem w komunii świętej. Nie tylko w niedzielę. Żyj nim również w tygodniu. Napisałem, co czułem. Teraz mogę dalej badać poziom cukru w cukrze u innych albo zrobić coś ze swoim życiem.

ZNAKI KRÓLESTWA BOŻEGO

Tekst

Tomasz P. Terlikowski

„Bóg czyni rzeczy wielkie i cudowne” – tak najkrócej podsumowywał cuda, jakie dokonały się za jego wstawiennictwem, bł. Jan Paweł II. A było ich niemało. Ojciec święty nigdy i w żadnej sytuacji jednak nie przypisywał sobie najmniejszej zasługi w uzdrowieniu kogokolwiek, choć oczywiście dochodziły do niego informacje o kolejnych uzdrowieniach, a także spotykał on osoby, które były przekonane, że zostały uzdrowione dzięki jego modlitwie. Gdy jednak pytano go o to, co relacjonował sam kard. Stanisław Dziwisz w wywiadzie dla włoskiej telewizji Canale 5, zniecierpliwiony machał ręką. „Cuda czyni Bóg. Ja modłę się. To są tajemnice. Nie wracajmy już do tego tematu” – mówił.

I dokładnie w ten sam sposób ujmuje cud Katechizm Kościoła Katolickiego, który zredagowany został i podpisany osobiście przez Jana Pawła II. Cud jest bowiem zawsze czyniony w imię Jezusa i Jego mocą. „Złe duchy boją się Jego [Jezusa Chrystusa zmartwychwstałego – dopisek T.T.] i w Jego imię uczniowie dokonują cudów, ponieważ Ojciec udzielił im wszystkiego, o co Go poproszą w imię Jezusa” – wskazuje Katechizm (par. 434). Cuda, zawsze dokonywane w imię Jezusa, są także dowodem na trwanie czasów mesjańskich, a także umocnieniem wiary w Chrystusa. Cud – o czym Jan Paweł II przypominał w czasie audiencji generalnej 13 stycznia 1988 roku – który przypomina, że świat nie zamyka się w obrębie porządku doczesnego poznawanego zmysłowo, ale że istnieje Bóg, który go przewyższa i kieruje człowieka ku Królestwu Bożemu. Cuda są właśnie znakiem tego Królestwa.

Jan Paweł II wskazuje również, że cud nie oznacza zanegowania porządku naturalnego. „Nie są to wydarzenia – mówił w czasie tej samej katechezy – przeciwne siłom i prawom samej natury, choć łączą się z jakimś namacalnym zawieszeniem tychże sił i praw. Nie chodzi jednak o ich unicestwienie. Cuda zapisane w Ewangelii wskazują tylko na istnienie Mocy, która przewyższa siły i prawa samej natury, równocześnie jednak działa po linii wymogów tejże natury, choć ponad jej aktualną mocą i wydajnością. (...) Interwencja Boga wyzwala potencjalne siły natury, wykraczające poza granice ich normalnych możliwości. Fakt ten nie wyklucza i nie niweczy porządku przyczynowego, który

został przez Boga objawiony stworzeniu, ani nie narusza praw naturalnych, które On ustanowił i wpoił w strukturę stworzenia, ale wywyższa i uszlachetnia ich zdolność do działania”.

Cud, jeśli ma zostać uznany przez Kościół za oficjalny znak czy dowód (najważniejsze jest to w przypadku procedury beatyfikacji i kanonizacji), musi mieć jednak charakter nadprzyrodzony, taki którego nie da się wyjaśnić z punktu widzenia ludzkiej wiedzy. Badanie takie rozpoczyna się jeszcze na etapie procesu w diecezji. To wtedy powołany przez biskupa trybunał wysłuchuje świadków i zbiera odpowiednie dokumenty (w przypadku cudu uzdrowienia – lekarskie). W drugim etapie cudem zajmuje się Kongregacja ds. Kanonizacji i jej eksperci. Zleca zbadanie sprawy ekspertom (także niewierzącym) w dziedzinie, w której dokonano się cud. Gdy naukowcy uznają już, że wydarzenia nie da się wyjaśnić z perspektywy nauk świeckich, do akcji wkraczają teolodzy. Ich zadaniem jest ustalenie, czy między cudem a modlitwą za wstawiennictwem świętego rzeczywiście istnieje związek przyczynowo-skutkowy. Ostatecznie, obie te opinie są zatwierdzane przez komisję kardynalską. I to właśnie ona odrzuca największą liczbę cudów, które zostały uznane przez dwie poprzednie komisje. Nie ma w tym zresztą nic zaskakującego, nadzwyczajne wydarzenie bowiem, aby zostało uznane za cud, musi nie tylko być nadnaturalne, lecz także prowadzić do pozytywnych, z punktu widzenia religii, skutków. Kiedy więc, teraz jest już inaczej, ostatecznie o cudowności cudu zdecydowano dopiero po śmierci uzdrowionego. Wcześniej niż po śmierci, nie sposób było bowiem stwierdzić, czy cud rzeczywiście miał pozytywne skutki także w życiu duchowym.

Fot. ks. Edmund Cybulski



CUD ŚWIĘTEGO OGNIA

Tekst

Maciej Papke

parafia prawosławna

pw. św. Mikołaja w Szczecinie

W tym numerze „Prosto z mostu...” głównym tematem są cuda. Zostałem poproszony o napisanie artykułu definiującego cuda w Cerkwi prawosławnej. Wszystkich spragnionych tej wiedzy encyklopedycznej odsyłam do leksykonów teologicznych. Ja wolałbym napisać o cudach, w które wierzymy, które spotykamy i którymi żyjemy. Mógłbym pisać o „nadzwyczajnych zjawiskach o charakterze religijnym”, o które z błogosławieństwa Bożego się otarłem – w Salonikach pokłoniłem się relikwiom św. Dymitra Sołuńskiego, z którego wydzielало się pachnące i uzdrawiające mirro.

Podobnie na Świętej Górze Athos miałem styczność z ikoną, która wydzielala pachnące mirro, a którą opiekował się stareńki, pokorny mnich. Kłaniałem się kilku cudownym ikonom w monasterach Athoskich. W Bari w Italii krypta Bazyliki San Nicola skrywa relikwie Świętego Mikołaja. Relikwie te toczą mirro, po które sięgają nie tylko prawosławni, lecz także katolicy.

Niemniej opiszę cud, którego nie byłem świadkiem naocznym, ale który jest potwierdzeniem i błogosławieństwem jedności Cerkwi prawosławnej. To cud Świętego Ognia, który od pierwszych wieków zstępuje co roku na Grób Pański w Jerozolimie. Cud ten jest niemal nieznanym w świecie Zachodnim, mimo swej „widowiskowości” i niezwykłości.

Grób Pański to dla każdego chrześcijanina najświętsze i najważniejsze miejsce świata. Ani Aleksandria, ani Konstantynopol, ani Rzym, ani żadne inne miasto na ziemi, nie otrzymało tak wielkiego i zarazem zatrwajającego przywileju. To właśnie w Jerozolimie umarł na krzyżu i na trzeci dzień zmartwychwstał Jezus Chrystus. W ogromnym, starożytnym kompleksie świątyni Grobu Pańskiego praktycznie codziennie można stać się świadkiem niezwykłych wydarzeń. Największym i najbardziej znanym cudem jest coroczne zejście Świętego Ognia w przeddzień prawosławnej Wielkanocy – w Wielką Sobotę. Tego dnia zebrani w Bazylice Grobu Pańskiego oczekują pojawienia się Ognia, który w sposób nadprzyrodzony zjawia się na płycie Grobu Jezusa Chrystusa, zapala pogaszone lampki oliwne i świece ludzi stojących w świątyni. Niezmienną tradycją jest to, że Święty Ogień z Grobu Pańskiego wynosi prawosławny patriarcha Jerozolimy.

Zejściu Świętego Ognia towarzyszą fenomenalne zjawiska – co roku inne – wokół kaplicy Grobu Pańskiego. Często Ogień pojawia się w powietrzu jak kolorowa wstążka. Częściej są to jednak błyskawice świetlne, przesywające powietrze pionowo z góry na dół. Zdarza się też, że niewielkie kule światła siadają nad rzędem lampek oliwnych i przeskakują z jednej lampki na drugą. Bywa też, że snopy światła oblewają kaplicę ze wszystkich stron albo że z twarzy Chrystusa na ikonie zaczyna emanować blask. Wielokrotnie widziano też, że kula Ognia – ogromna, o średnicy dwóch-trzech metrów – spływa jak bańka mydlana i spoczywa wśród tłumu. Z boku wygląda to jak pożar, nie widać twarzy ludzi wewnątrz, wszyscy są w płomieniach. Trwa to krótki moment, po czym kula znika, aby znowu pojawić się w innym miejscu. Święty Ogień w pierwszych chwilach po zapaleniu nie parzy. Można go dotykać, umywać w nim twarz i ręce.

Najstarsze świadectwa pisane mówiące o tym cudzie pochodzą z IV wieku i wraz z upływem lat liczba poświadczeń wzrasta. Przy czym, zaświadczają o tym zarówno prawosławni, jak i inni chrześcijanie, a nawet wielu muzułmanów. Obecnie możemy znaleźć w Internecie ogromną liczbę filmów i zdjęć wykonanych przez pielgrzymów, którzy co roku tłumnie uczestniczą w tym wydarzeniu.

W lipcu 1099 roku Krzyżowcy odbili Jerozolimę z rąk niewiernych. Jak pisze Steven Runciman, historyk angielski, postanowili na miejsce prawosławnego patriarchy wyznaczyć z własnego grona łacińskiego biskupa. Został nim Arnold z Choques. Runciman pisze: „Daimbert z Pizy, który po kilku miesiącach zastąpił Arnolda, starał się zachować świątynię Grobu Pańskiego wyłącznie dla nabożeństw łacińskich i usunął wszystkich miejscowych chrześcijan, także prawosławnych, z ich kościołów w Jerozolimie i najbliższej okolicy. Poza tym uraził wschodnie poczucie przyzwoitości, wprowadzając kanoniczki do posług przy Grobie Świętym. Bóg ukarał bezprawie, odmawiając dokonania dorocznego cudu ognia w Wielką Sobotę 1101 roku, dopóki wschodni wyznawcy nie zostali zaproszeni do udziału w nabożeństwie. Król Baldwin I postarał się, by miejscowi chrześcijanie odzyskali dawne prawa”.

W 1579 roku Ormianie przekupili władze tureckie, aby to im dano przywilej wejścia po Ogień do Bazyliki w Wielką Sobotę. Ormianie i przedstawiciele innych konfesji weszli do świątyni Grobu Pańskiego, prawosławni zaś z patriarchą Sofroniuszem IV stali na dziedzińcu przed zamkniętymi drzwiami. Ormiańscy kapłani zaczęli się modlić o zejście Ognia. Prawosławni na zewnątrz też zwrócili się do Boga z modlitwami. Nagle usłyszano szum i kolumna znajdująca się po lewej stronie wrót świątyni pękła z trzaskiem, a ze szczeliny wyszedł Ogień i zapalił świece w rękach patriarchy jerozolimskiego. Ślady zejścia Ognia są

widoczne do dzisiaj na kolumnie z charakterystycznym rozszczepieniem po lewej stronie wejścia. Od tego momentu nikt więcej nie starał się podważyć roli patriarchy jerozolimskiego i przedstawicieli innych konfesji chrześcijańskich obecni w świątyni otrzymują ogień z rąk prawosławnego patriarchy.

W Wielką Sobotę Bazylika jest dokładnie przeszukiwana przez policję izraelską i turecką, które ustawiają podwójną straż wokół świątyni. Drzwi do kaplicy są zamykane i pieczętowane przez władze. Prawosławny patriarcha Jerozolimy, który wchodzi do Bazyliki jest przeszukiwany przez policję, a do niedawna również przez przedstawicieli innych wyznań. Za jego plecami cały czas stoi ormiański biskup, który śledzi każdy jego ruch.

Gdy Święty Ogień schodzi w Bazylice Grobu Pańskiego wybuchą ogromna radość. Zaczynają bić dzwony i rozpoczyna się paschalne nabożeństwo. Wydarzenie to przyciąga tłumy pielgrzymów z całego świata. Jest też bezpośrednio transmitowane przez telewizje wielu prawosławnych krajów (m.in.: Grecji, Gruzji, Rosji, Bułgarii). Wiele osób właśnie tam odzyskuje lub znajduje swoją wiarę. Nawet muzułmanie przychodzą, by zabrać do domów Święty Ogień – błogosławieństwo na kolejny rok.

Mimo wielu świadectw zachodnich świętych i pielgrzymów z pierwszego tysiąclecia, od XIII wieku starano się nie mówić o cudzie Świętego Ognia. Tylko ci, którzy odbywali pielgrzymkę do Ziemi Świętej, mieli szansę dowiedzieć się o nim. Dopiero od końca XX wieku ta informacja zaczyna docierać do szerszych kręgów na Zachodzie.

Papież Urban II, zwracając się na soborze w Clermont (1095 r.) do uczestników pierwszej wyprawy krzyżowej, powiedział: „Rzeczywiście, w tej świątyni [Grob Pańskiego] przebywa Bóg: w tej świątyni On umarł za nas i został pogrzebany. Od tego czasu nie przestaje On czynić tam cuda, gdyż w dni swoich Świętych Cierpień, gdy wszystkie ognie są zgaszone nad Jego Grobem i w całej świątyni, nagle pogaszone lampki oliwne zapalają się. Czyż serce, obojętnie jak bardzo skamieniałe, nie zmiękczy się przed takim objawieniem?”

Odpowiadając na to wezwanie papieża sprzed prawie tysiąca lat, wierni Kościoła rzymskokatolickiego w Ziemi Świętej wyprosili, aby od tego roku świętować Wielkanoc razem z prawosławnymi. Wtedy, kiedy na Grób Pański schodzi Święty Ogień.

CUDOWNY JEST TYLKO BÓG

Tekst

Ks. Sławomir Sikora

parafia ewangelicko-augsburska
w Szczecinie

Cuda dokonywane przez Jezusa robią wrażenie. Kiedy wyobrażamy sobie, jak rozmawiał z chorą osobą; a później wypowiadał słowa, kładł na nią rękę lub czynił maź z własnej śliny i błota, uzdrawiając ją tym i niewidomy zaczynał widzieć, sparaliżowany mógł się poruszać, trędowaty stawał się czysty – niesamowite! Albo wskrzeszenie z martwych córki Jaira: kiedy pomyślimy, co musieli odczuwać rodzice dziewczynki po jej śmierci – na pewno wielką rozpacz, żal. A później Jezus pojawia się w ich domu i zapewnia: „Ona nie umarła, lecz śpi. Dziewczynko, mówię ci wstań!”. Czy nie czujemy dreszczu emocji na samą myśl, że takie sytuacje miały miejsce? Szczerze mówiąc, wolę cuda uzdrowień niż opisy nadzwyczajnych zjawisk, jak zamiana wody w wino, chodzenie po wodzie lub uciszenie burzy. Wyobrażam sobie, że ludzkie emocje w czasie uzdrowień były znacznie większe, w innych przypadkach zaś górę mógł brać zachwyty.

W Dziejach Apostolskich opisane są cuda, które czynili uczniowie w imię Jezusa. Zdarzało się, że ludzie wierzący w mitologię grecką byli przekonani, że apostołowie Paweł i Barnaba są wcieleniami bogów: Zeusa i Hermesa. Paweł i jego przyjaciel byli tym oburzeni. Przekonywali, że są tylko zwykłymi ludźmi, a tym, który dokonywał wielkich rzeczy był sam Chrystus. Te zapisy cudów są świadectwem spełnienia się zapowiedzi Jezusa. Skoro apostołowie potrafili uzdrawiać, dlaczego mamy negować podobne cuda dziejące się na przestrzeni wieków funkcjonowania chrześcijaństwa. Mimo że żyjemy w czasach, w których próbujemy wszystko racjonalizować, również i w dzisiejszym postrzeganiu świata powinno być miejsce na takie cuda. Czy nie dzieją się jednak one zbyt rzadko? Dlaczego choroby zawsze towarzyszyły ludziom i nie wygląda na to, aby miały od człowieka odstąpić? Kilka uwag na ten temat.

Po pierwsze, trzeba zwrócić uwagę na to, że uzdrawianie nie było główną misją Jezusa. To był jeden ze znaków nadejścia Królestwa Niebieskiego, ale w czasach Syna Bożego wciąż wielu ludzi pozostawało chorymi. Gdyby Chrystus chciał, na pewno diametralnie zmieniłby tę sytuację. Choroba jest wpisana w naturę człowieka i nigdy już tego nie zmienimy.

Po drugie, bardzo niebezpieczne jest uzależnianie uleczenia od stopnia zaufania Bogu. „Jak będziesz mocno ufać Bogu, jak będziesz się żarliwie modlić,

wtedy ozdrowiejesz". Wydaje się, że takie słowa mogą podtrzymać na duchu i wlać w serce chorego nadzieję. Czy na pewno? Czy mamy prawo zapewniać o uzdrowieniu? Uważam, że to bardzo niebezpieczna droga. Głęboko bogobojny człowiek może do końca swych dni być przykuty do łóżka, gdyż taka będzie mądra, suwerenna decyzja Boga.

Po trzecie, wielu wciąż się wydaje, że o Bożym błogosławieństwie świadczy stan zdrowia, stan posiadania, poziom szacunku i poważania społeczeństwa, itp. Chorobę traktuje się jako zło, które spadło na człowieka nie wiadomo skąd. W każdym razie, raczej nie od Boga, a jak od Boga, to należy traktować chorobę jako karę. Na podstawie nauki Jezusa powinniśmy już dawno uwolnić się od takiego myślenia.

Po czwarte, czy zawsze cudem jest uzdrowienie? A może cudem jest to, że człowiek potrafi znieść ograniczenia, jakie przynosi choroba, że człowiek potrafi zachować wiarę nawet w obliczu cierpienia? Czy cudem nie jest to, kiedy w wyniku choroby, cierpienia, rodzina zbliża się do siebie, a obcy dotychczas ludzie stają się pomocni, empatyczni? Czy kiedy człowiek po okresie ciężkiej choroby umiera w spokoju, w harmonii z Bogiem, w otoczeniu miłości najbliższych, czy to nie jest cud piękniejszy nawet od uzdrowienia?

Po piąte, żyjemy w czasach, w których medycyna nieraz ratuje człowieka z beznadziejnych sytuacji. Posiadanie coraz większej wiedzy w zakresie chociażby kardiologii, to przełom, który dzieje się na naszych oczach. Operacje serca, przeszczepy, wstawianie sztucznych rozruszników to możliwości, które jeszcze nie tak dawno były nam nieznane. Czy cud zawsze musi być spostrzegany jako natychmiastowa, irracjonalna poprawa zdrowia w jakiś nadnaturalnych warunkach? Dla mnie osoby po operacjach serca są żywym przykładem cudu (np. moja mama!).

Nie neguję tych cudów, które zapowiedział Jezus, że są możliwe. Traktuję je jako wysłuchane modlitwy wielu. Znam osoby, które mają tę świadomość, że żyją dzisiaj, ponieważ wiele osób błagało Boga o ich życie. Sposób, w jaki wygrali z chorobą jest sprawą drugorzędną. Niektórzy trafili w dobre lekarskie ręce, inni cudownie doświadczyli zaniku choroby w ich organizmie, jeszcze inni zostali uleczeni za sprawą uzdrowiciela. Czy sposób jest jednak ważny? Jeśli mówimy o uzdrowieniach zapowiadanych kiedyś przez Jezusa, to za każdym z nich stoi Bóg, bo bez Niego żaden tego rodzaju cud nie miałby miejsca.

Nie neguję cudów, jakie dokonał Bóg za sprawą Jana Pawła II. Nie potrzebuję jednak potwierdzenia ich wiarygodności, aby patrzeć z szacunkiem na tego wielkiego człowieka. Widzę w nim współczesnego świadka Chrystusa, za sprawą którego, Bóg poruszył wiele ludzkich serc na całym świecie. Nawet jeśli te uzdrowienia miały miejsce, to świadczy to tylko o wielkości, miłości i dobroci Boga, bo cudowny jest tylko Bóg.

PAPIEŻ PRZYJECHAŁ TU DO SWOICH

Rozmawiał
Piotr Kołodziejski
 parafia rzymskokatolicka
 pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej

Kardynał Stanisław Dziwisz w Szczecinie podczas konferencji naukowej. Fot. Ks. Edmund Cybulski

Kardynał Stanisław Dziwisz był osobistym sekretarzem Jana Pawła II. Zawsze blisko Ojca Świętego. Oto co powiedział dla audycji katolickiej „Religia na fali” w Radiu Szczecin.

Powiedział ks. kardynał, że Janowi Pawłowi II bardzo zależało na tych ziemiach na Pomorzu Zachodnim. Jak tu przyjeżdżał na pielgrzymki do Szczecina, Koszalina, jak podchodził do tych wizyt tu, jak traktował te miasta?

On zapoznał się z tą ziemią jeszcze dużo wcześniej, przed papieżstwem. Już jako kapłan udawał się tu z młodzieżą, również jako biskup, arcybiskup i kardynał. Był tu aż 19 razy. Także, jak przyjechał tu jako papież, przyjechał do swoich i swoi go przyjęli, przyjęli go z radością. Stworzyła się atmosfera wielkiej wzajemności i życzliwości. On przywiązywał dużą wagę do tych ziem, starych polskich ziem. Wiedział, że trzeba te ziemie jeszcze bardziej wiązać i utrwalać z macierzą i Kościołem katolickim.

Nie było tu wielkich uczelni. Stworzono uniwersytet. Uważał, że na tej ziemi też powinien być wydział teologiczny i to wszystko jakoś szczęśliwie się zrealizowało. Był szczęśliwy z nawiedzenia tej ziemi zwłaszcza, że przyjaźnił





Kardynał Stanisław Dziwisz w Szczecinie podczas konferencji prasowej. (Od lewej: kanclerz Kurii Metropolitalnej ks. Sławomir Zyga, abp Andrzej Dzięga, kard. Stanisław Dziwisz, dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Szczecińskiego ks. prof. Henryk Wejman. Fot. Ks. Edmund Cybulski

się z biskupami z Gorzowa, Szczecina, Koszalina, Zielonej Góry. Te związki były, i ufam, że pozostały w jego sercu, i na pewno wstawiał się za tymi ziemiami i ludźmi, którzy tu mieszkają.

Co zrobić, żeby kanonizacja nie była popolitym ruszeniem wśród wiernych, ale żeby przekuć to na doświadczenie w wierze na kolejne miesiące i lata?

On zawsze mówił: „Bądźcie świętymi” i my musimy iść jego śladami do świętości. Jego droga była prosta – droga miłości Boga nade wszystko, bliźnich. I to trzeba wcielać w życie. To najlepsze przygotowanie do kanonizacji, a potem coś z jego świętości pozostanie z nami.

W księgarniach można nabyć książkę *Jestem bardzo w rękach Bożych. Notatki osobiste 1962–2003 z prywatnymi zapiskami papieża*. Nie było chwili wątpliwości, kiedy zapadała decyzja, by nie niszczyć tych zapisków?

Dokumentów się nie niszczy i byłoby niestosownością, i nie chcę mówić, że zbrodnią, zniszczyć dokument jego duchowości. Przecież on wszystko pisał. Wiele dokumentów zostało po nim, wiele prac, wszystko ręcznie pisane. To są ręczne dokumenty, podobnie jak te zapiski z rekolekcji, z życia wewnętrznego.

DAJCIE NAM KSIĘDZA!

Tekst

Marcin M. Stefanik SChr

chrystusowiec

„Dajcie nam księdza!” To nie hasło z najnowszego spotu reklamowego, ale prawdziwe wołanie o polskiego księdza. Wołanie, które jest słyszalne w naszej ojczyźnie od stuleci, a płynące z różnych krajów i kontynentów, miejsc, w których nasi rodacy osiedlili się w poszukiwaniu lepszego bytu, pracy, chleba, wolności (uciekając przed represjami po zaborach, wojnach). Odpowiedzią na te liczne głosy było powołanie w 1932 roku przez kard. Augusta Hlonda SDB zgromadzenia zakonnego, którego zadaniem miała być opieka duszpasterska nad polskimi emigrantami. Organizacja nowej wspólnoty zakonnej została zlecona ks. Ignacemu Posadzemu, który od samego początku kształtował ducha kolejnych pokoleń zakonników. Początkowa nazwa zgromadzenia, bożogrobcy (nawiązując do nazwy zakonu z XI w.), nie oddawała istoty charyzmatu, stąd zmieniono ją ostatecznie na Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej. Potocznie księży i braci z tego zgromadzenia nazywa się chrystusowcami. Sama nazwa wskazuje na to, kto dla nas jest najważniejszy, komu służymy i kogo chcemy naśladować w głoszeniu ewangelii i posłudze braciom naszym za granicą.

Może się w tym momencie rodzić pytanie: Po co wysłać polskich księży, kiedy w wielu krajach, w których są Polacy, nie brakuje lokalnego katolickiego księdza czy kościoła? Czy to tylko z braku znajomości języka? Dla wielu nie jest to przecież barierą. Jest jednak coś szczególnego w polskiej duszy, co przychodzi niełatwo innym zrozumieć, a jest trudnością w przeżywaniu wiary

Fot. Archiwum prywatne



w innej mowie, słowie, sposobie sprawowania liturgii. Stąd Polacy lgną do polskich misji, kościołów, mszy św., rozmowy, spowiedzi w ojczystym języku. Są po prostu stęsknieni za tym, w czym wyrosli. Znane są historie, kiedy to starzy emigranci latami czekali na polskiego kapłana. A po spowiedzi i komunii św. mogli spokojnie umierać.

Chrytusowiec to ten, który – jak owi emigranci – jest wędrowcem, tułaczem w obcym kraju. Do niego należy nie tylko praca duszpasterska, ale także podtrzymywanie zdrowego ducha ukochania ojczyzny, polskiej kultury, współpracując z placówkami dyplomacji polskiej. Parafia polonijna jest często miejscem, w którym nie tylko kwitnie duszpasterstwo, lecz także prężnie kultywowane są polskie zwyczaje.

Czym się wyróżniamy? Jako zakonnicy składamy trzy śluby: posłuszeństwa, ubóstwa i czystości. Chcemy wypełniać życzenie naszego założyciela – kard. Hlonda – aby „słowem i piórem szerzyć wśród wiernych znajomość Mszy św., jako centrum chrześcijańskiego życia”, stąd też wydajemy miesięcznik „Msza Święta”. Główna siedziba zgromadzenia znajduje się w Poznaniu. Co więc robimy na Pomorzu Zachodnim? Po wojnie chrytusowcy włączyli się w posługę duszpasterską na Pomorzu, ponieważ napływała na te tereny ludność z innych części kraju, by zająć nowe obszary rodzącego się państwa. Pierwszą mszę św. w powojennym Szczecinie odprawił 6 maja 1945 r. ks. Florian Berlik TChr. Obecnie na ziemiach zachodnich mamy około 17 parafii, a także jesteśmy obecni w diecezjach: koszalińsko-kołobrzeskiej, bydgoskiej, archidiecezji gdańskiej, wrocławskiej. Jednak znaczna część członków wspólnoty zakonnej, z ok. 480 osób, służy polonii w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Brazylii, Australii, Nowej Zelandii, RPA, Anglii, Irlandii, Szkocji, Hiszpanii, Francji, Holandii, Włoszech, Islandii i na Węgrzech. Szczególną troską staramy się teraz otoczyć Rodaków mieszkających za wschodnią granicą Polski: na Białorusi, na Ukrainie i w Kazachstanie.

Żeby „dać księdza” Polakom zagranicą, trzeba go najpierw wyłowić, wykształcić, poszukać tego, który ma powołanie i chce je realizować w duchu naszego charyzmatu. Czynimy to w Wyższym Seminarium Duchownym Towarzystwa Chrystusowego, które ma swoją siedzibę w Domu Głównym w Poznaniu. Kształci ono kleryków nie tylko z Polski, lecz także z krajów, gdzie osiedlają się nasi rodacy. Kandydaci do kapłaństwa najpierw odbywają roczny nowicjat w Mórkowie koło Leszna, a następnie przez 6 kolejnych lat kontynuują formację w seminarium duchownym. Kandydaci na braci zakonnych po aspirandacie i nowicjacie odbywają kilkuletni juniorat. Formacja intelektualna członków Zgromadzenia oprócz studiów filozoficzno-teologicznych obejmuje także problemy duszpasterstwa emigracyjnego i naukę języków obcych. A później to już przełożeni kierują na placówkę tam..., gdzie będziesz mógł realizować swoje powołanie... ale gdzie to będzie? Tego nie wiemy... Marzenia dotyczące pracy w danym kraju czasami się spełniają.

Jest prawdą, że Polaków można spotkać we wszystkich krajach i na wszystkich kontynentach. I jest prawdą, że polskiego księdza można spotkać prawie we wszystkich krajach świata. Kiedy będziesz wybierał się na zagraniczny urlop, do pracy, na studia, sprawdź, czy w pobliżu nie ma polskiego kapłana: www.emigracja.chrystusowcy.pl

„DLACZEGO WŁAŚCIWIE BIEGASZ?”

Tekst

Ks. Sławomir Sikora

parafia ewangelicko-augsburska
w Szczecinie

Kiedy pokazuję z dumą medal za ukończenie maratonu, patrzy się na mnie czasem z podziwem, czasem z politowaniem. Dla wielu bieganie ponad 42 kilometrów jest dziwne i nie do końca normalne. Gdy dodamy do tego trzy miesiące wyrzeczeń w postaci właściwej diety, setek przebiegniętych kilometrów (w moim przypadku najczęściej po 21.00) to politowanie nad maratończykiem amatorem jest coraz głębsze. Jedno z najtrudniejszych pytań, jakie mi się zadaje to: „Dlaczego właściwie biegasz?”.

Na początku mojej przygody z bieganiem umiałem odpowiadać na to pytanie. Mówiłem o zdrowiu, o wskazaniach lekarskich, o lepszym samopoczuciu. To wszystko nadal jest aktualne. W ciągu trzech lat przeleżałem w łóżku z powodu przeziębienia jeden dzień. Skończyły się również problemy z sercem, które, jak powiedział mi kiedyś lekarz, „potrzebuje lepszego dokrwienia”. Zdrowie to jednak nie wszystko. Współczesny człowiek bardzo łatwo wpada w rytm praca-dom-praca, od obowiązków do obowiązków. Takie czasy. Można tak funkcjonować jakiś okres, ale prędzej czy później albo organizm, albo psychika może tego nie wytrzymać. Dlatego tak wiele reklamuje się środków farmakologicznych na stres, opanowanie emocji, lepszy sen. Wymagania od nas są coraz większe. Jako rodzice możemy przecież zapewnić naszym dzieciom tyle możliwości rozwoju. Większość zajęć dodatkowych jest odpłatna, więc pracy potrzebujemy również więcej, a za oczekiwaniami pracodawcy trudno nadążyć. Nie brakuje osób, które stwierdzają: „nie mam w ogóle czasu dla siebie”. Czy to jest konieczna droga męczeństwa i poświęcenia, którą musimy iść? Pytanie, czy tak żyjąc, rzeczywiście damy radę długodystansowo podołać

tym wszystkim zadaniom. Moja odpowiedź brzmi: to droga donikąd. Bieganie stało się dla mnie odskocznią. To może brzmi absurdalnie, ale kiedy moje serce bije jak szalone, jest to dla mnie emocjonalny odpoczynek, błogi stan umysłu. Nie brakuje również refleksji nad własnym życiem, czasem szukam rozwiązania powstałego problemu, modlę się i co ciekawe, najczęściej jest to modlitwa uwielbiająca lub wstawiennicza. Bieganie daje również możliwość poznania nowych ludzi. To jest piękne, kiedy można do woli rozmawiać o różnych rodzajach treningu, o tętnie, tempie, obuwiu sportowym i przeżyciach z różnych zawodów. Tym ludziom nie trzeba się tłumaczyć z towarzyszących emocji. Wszyscy mamy podobnie. Większość z nas prowadzi „podwójne życie”. Na co dzień zakładamy garnitur do pracy, żyjemy problemami zawodowymi w różnych profesjach, bywamy obciążeni obowiązkami zawodowo-rodzinnymi, bywamy zmęczeni i zniechęceni. Dodatkowo wczesnym rankiem, kiedy zwykle się jeszcze śpi, albo późnym wieczorem, kiedy „normalny człowiek” marzy tylko o tym, aby usiąść w fotelu przed telewizorem, my zakładamy nasz „sportowy garnitur” i w drogę. Niezależnie od mrozu, śniegu, deszczu, wiatru. Dlaczego? Bo to jest fajnie, gdy deszcz zacina prosto w twarz albo mroźny wiatr paraliżuje oddech? Kto w to uwierzy?

6 kwietnia 2014, Dębno. Linia startu najstarszego maratonu w Polsce. To już 41. edycja. Rekordowa ilość zawodników, ok. 2500 osób. W tej grupie również księża i ministranci. Wiem o tym, bo dzień wcześniej wspólnie modliliśmy się ekumenicznie o pomyślność dla maratończyków w kościele katolickim w Dębnie. Prawie wszyscy prowadzący mszę świętą stanęli następnego dnia na starcie maratonu. Jestem sam w tłumie takich jak ja. Wydaje się, że czeka mnie bieg w samotności. Jestem na to przygotowany. Jednak już na drugim kilometrze spotyka mnie kolega ze Szczecina. To jeszcze czas na spokojną rozmowę. Kiedy dzielimy się naszymi planami na końcowy wynik, zaczynają dołączać do nas kolejne osoby. Z całej Polski. Powstaje grupa ok. 10 osobowa. Zostaję mianowany „liderem” trzymającym tempo. Tak biegniemy razem do 21 kilometra. Później zapowiadam, że zaczynamy walkę i przyspieszamy. Zostajemy we trójkę. Jeszcze przez chwilę rozmawiamy, ale zdania coraz krótsze. Tętno przekracza 170 kończy się konwersacja. Miarowy oddech trzyosobowej lokomotywy, która wyprzedza kolejnych zawodników (w sumie wyprzedziliśmy ponad 300 osób! W drugiej połowie biegu). Co kilometr podaję tylko nasze tempo. „Moi nowi przyjaciele” przybiegli na metę chwilę przede mną. Ja i tak z czasem 3:32:29 poprawiam moją „życiówkę” o 8 minut, jestem przeszczęśliwy. Miła niespodzianka na mecie. Olga i Mariusz czekają na mnie, żeby mi pogratulować i podziękować za prowadzenie ich w biegu do 35 kilometra. Czy przeżywanie takich chwil jest powodem mojego biegania? Taka odpowiedź jest wciąż niewystarczająca.

Ludzie pytają, dlaczego wierzę w Boga. To jeszcze trudniejsze pytanie. Można



Ekumeniczny bieg na 5 km w październiku 2013 r. w Szczecinie. Fot. Jarosław Dulny

mówić o korzyściach, że lepiej się żyje ze świadomością, że nad nami czuwa Bóg i to On prowadzi nas przez życie. Jego Słowo jest drogowskazem, jak dobrze wykorzystać dar życia, uczy nas, co jest dobre, a co jest złe. Można mówić o radości przynależności do wspólnoty. To bezcenne doświadczenie dzielić się swoimi przeżyciami wiary z ludźmi, którzy podobnie odczuwają, więc razem z nami modlą się, wspierają lub cieszą się razem z nami. Można mówić o satysfakcji z życia z Bogiem, kiedy z Jego błogosławieństwem udaje nam się zrobić coś dobrego, dobrze jest odczuwać wewnętrzny pokój, radość, harmonię ze Stwórcą, sobą samym i otaczającym światem. Dobrze jest mieć komfort spokojnego myślenia o własnym przemijaniu, gdy się ufa, że „prawdziwe życie” zaczyna się dopiero po śmierci. To wszystko prawda, lecz taka odpowiedź jest wciąż niewystarczająca.

Biegam, bo nawet nie wiem kiedy, po prostu pokochałem bieganie i wszystko, co się z tym wiąże. Linia mety maratonu stała się dla mnie miejscem, do którego pragnę dwa razy w roku wracać. Aby tam jednak się znaleźć, muszę przejść za każdym razem tą samą drogę wyrzeczeń.

Wierzę w Boga, bo nawet nie wiem kiedy, po prostu pokochałem Stwórcę i wszystko, co się wiąże z codziennym życiem z Nim. Modlitwa jest dla mnie przebywaniem z Bogiem. To On mnie uwiódł swoją miłością. Cierpliwie zabiegał o moje serce. I je pozyskał, a ja jestem z tego powodu szczęśliwy. A korzyści? Są i to wielkie. Tylko, czy w naturze miłości jest szukanie przede wszystkim korzyści? A może oddanie się miłości jest największą „korzyścią”? W każdym razie biegam i wierzę w Boga z miłości(ą)...

Zapraszamy na VI Szczeciński Ekumeniczny Bieg Charytatywny „Biegnij do pustego”. Niedziela, 11 maja godz. 15.00, wokół kąpieliska Arkonka. Więcej na radioszczecin.pl/religia w dziale zapowiedzi wydarzeń.

FUNDAMENT ŻYCIA

CZ.2 - CEL STWORZENIA

Tekst

o. Grzegorz Ginter SJ

duszpasterz akademicki u szczecińskich jezuitów

www.ginter.sj.deon.pl

Przypomnijmy najpierw zdanie z Ćwiczeń duchowych św. Ignacego z Loyoli, którym się zajmujemy:

Człowiek jest stworzony, aby Boga, Pana naszego, chwalił, czcił i Jemu służył, a przez to zbawił duszę swoją. Inne zaś rzeczy na obliczu ziemi są stworzone dla człowieka i aby mu pomagały do osiągnięcia celu, dla którego jest on stworzony. [ĆD, s. 23]

Poznaliśmy już cel człowieka i jego miejsce w planie Boga. W kolejnym zdaniu czytamy o celu innych rzeczy na ziemi. Wszystko, co Bóg stworzył „było dobre” (Rdz 1) i zostało stworzone **dla człowieka**. Mamy korzystać z dóbr tego świata. Bóg, stwarzając świat i organizując go, uczynił z niego miejsce przyjazne do życia. Człowiek ma się czuć na świecie „jak u siebie w domu”, bo świat został stworzony właśnie jako dom dla niego. Bóg pokazuje nam się tutaj jako Dawca, który dzieli się z człowiekiem tym, co posiada. W konsekwencji więc, kiedy człowiek uświadamia sobie to, co otrzymał, rodzi się w nim radość i wdzięczność z tego wszystkiego, co posiada. Bo ostatecznym źródłem posiadanego jest Bóg.

Stworzenie istnieje więc dla człowieka i w nim ma ono swój sens. Cała przyroda, świat materialny ożywiony i nieożywiony, wszelkie przedmioty – mają sens i cel tylko w człowieku, służą mu i pomagają. Właśnie, **pomagają w osiągnięciu celu**, dla którego człowiek został stworzony. Wynika z tego, że potrzebujemy korzystać ze stworzeń w sposób rozumny, zważając na sens naszego życia. Stworzenia zostały uczynione dla człowieka, a człowiek – dla Boga. Mamy więc korzystać z wszystkiego w taki sposób, by nigdy nie stracić z oczu tej perspektywy. Bardzo ładnie ujął to św. Paweł, pisząc: *Czy więc jecie, czy pijecie, czy cokolwiek czynicie, wszystko czyńcie na chwałę Boga* (1 Kor 10, 31). Mamy więc czynić wszystko tak, by służyło naszemu zbawieniu i szczęściu wiecznemu. Oznacza to nie tylko takie korzystanie z dóbr, by pomagały nam w tym, lecz także o to, by **wybierać** te dobra, które rzeczywiście prowadzą nas do celu. Ignacy pisze o tym tak:

Z tego wynika, że człowiek ma korzystać z nich w całej tej mierze, w jakiej mu one pomagają do jego celu, a znów w całej tej mierze winien się od nich uwalniać, w jakiej mu są przeszkodą do tegoż celu. [CD, s. 23]

Możemy jednak zapytać: Skoro wszystko, co Bóg uczynił, jest dobre to dlaczego mamy wybierać pewne stworzenia? Jak to możliwe, że to, co Bóg stworzył jako dobre, może stać się dla nas przeszkodą w dojściu do Niego? W tych pytaniach zawarta jest tajemnica zła, które jest na świecie od początku. Człowiek zraniony grzechem może używać stworzeń w złym celu, przeciwnym do tego, jaki zamierzył Bóg. Problemem nie są tu stworzenia, lecz człowiek noszący w sobie pewną dwuznaczność. Cytowany już wyżej św. Paweł znów ujął to po mistrzowsku: *Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, lecz czynię zło, którego nie chcę* (Rz 7,19). Człowiek więc potrzebuje **rozeznawać** użycie dóbr i św. Ignacy podaje zasadę zwaną „o tyle, o ile”, by pomóc mu w dokonywaniu dobrych wyborów. Świat jest dobry i piękny, lecz człowiek (przez grzech) ma zepsuty wzrok i serce i często w swoich wyborach i używaniu świata kieruje się nie miłością, ale egoizmem.

W ten sposób zakończyliśmy omówienie pierwszej części fundamentu. Prowadzi on człowieka do coraz większej radości i szczęścia. Dzieje się to przez uświadomienie sobie wielkiej wartości, jaką mamy w oczach Boga, jak również zależności od Niego. Nasza spontaniczna odpowiedź to oddanie Bogu chwały całym naszym życiem, czczenie Go jako Ojca i bycie Jego umiłowanym dzieckiem oraz służenie Mu, wyrażane najpełniej przez naśladowanie Jezusa. Bóg czyni wszystko dla nas, co prowadzi do wdzięczności za wszelkie dobro, jakie z Jego ręki otrzymujemy. Z powodu jednak skażenia grzechem, potrzebujemy uczyć się wybierać te dobra, które nas coraz bardziej prowadzą do Boga i Jego miłości, a zostawiać te (nie korzystając z nich), które nas od naszego celu oddalają.



Weź udział w nowej zabawie audycji „Religia na Fali”. Zagłosuj w Chrześcijańskiej (pamiętajcie chrześcijańskiej, a więc nie tylko katolickiej) Liście Przebojów. Szczegóły na radioszczecin.pl/religia. Co 2 tygodnie losowanie nagród!

Zapraszam do słuchania audycji katolickiej „Religia na Fali” w Polskim Radiu Szczecin w każdą niedzielę o godzinie 6.00. Od stycznia 2013 roku audycja o godzinie 6 rano. (częstotliwość 92 MHz). W audycji m.in. o wydarzeniach z życia Kościoła, dialogu ekumenicznym w Szczecinie, młodzieżowych wspólnotach, a także rozmowy m.in. z duszpasterzami akademickimi (chrystusowcem ks. Zbigniewem Reguckim, jezuitą o. Grzegorzem Ginterem, dominikaninem o. Przemysławem Dymowskim), a także dominikaninem o. Maciejem Biskupem i ks. dr. Krzysztofem Łuszczkiem (Wydział Teologiczny Uniwersytetu Szczecińskiego). Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/religianafali> Piotr Kołodziejcki, **Zapraszam!**

Proszę zeskanować kod QR



audycja
katolicka

zdjęcia
wideo

NIEDZIELA
6:00

informacje

RELIGIA
NA FALI

www.radioszczecin.pl/religia

„BIEGNIJMY! BIEGNIJMY I MY ZMARTWYCHWSTAĆ RAZEM Z NIM! ROZMOWA O MIŁOŚCI, ŚMIERCI I ŻYCIU

Tekst

Barbara Chojnacka

Stowarzyszenie Przyjaciół

Duszpasterstwa Akademickiego „RAZEM”

Łazarz, Maria i Marta – zwyczajni, pracujący, zmagający się z codziennymi troskami ludzie, przyjaciele Jezusa. Siostry wzywały Chrystusa, gdy ich brat umierał. Liczyły na to, że przybędzie i uzdrowi Łazarza, uchroni go przed śmiercią. Jezus jednak nie nadszedł, nie ruszył w drogę od razu, zczekał.

„Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł” – słowa te wypowiadają niemal jednogłośnie obie siostry Łazarza: Marta i Maria. Obie stoją w obliczu śmierci ukochanego brata. Jezus, którego jeszcze niedawno Maria słuchała, zapominając o całym świecie, nie przychodzi by uratować Łazarza. Jezus, od którego Marta otrzymała wyryte już później w sercu napomnienie: „Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba (mało albo) tylko jednego.”, przychodzi zbyt późno, by dokonać cudu uzdrowienia.

Tymczasem w scenerii bólu i cierpienia dokonuje się coś więcej. Pan tchnął Nowe Życie w Łazarza.

Maria: Śmierć, która stała się życiem. Łazarzu, kochany nasz bracie, umarłeś. Twoja śmierć okazała się też naszą śmiercią. Nie wiedziałyśmy, co począć. Wszystko, co do tej pory robiłyśmy straciło sens, bo Ciebie nie było z nami...

Marta: Teraz nic już nie będzie takie, jak przedtem. Dostaliśmy od Pana najpiękniejszy dar.

Marta: A najtrudniejsze wydawało nam się to, że Nauczyciel był tak blisko Bethanii i nie przyszedł na czas. Nie mogłam tego zrozumieć. Przecież, gdyby tylko chciał, na pewno by zdążył. Wciąż zadawałam sobie pytanie – Dlaczego pozwolił Ci umrzeć? Taka jest Jego miłość? Pytałam, płakałam, modliłam się.

Łazarz: Moja śmierć...

To nie była tylko śmierć mojego ciała. Teraz to rozumiem. To nie była tylko moja śmierć. Wy również umarłyście. Umarło wszystko, co było w naszym życiu złe, zbędne, wszystko to co nas ograniczało i pozwalało zapominać o tym co najważniejsze.

Maria: On nas obudził, Łazarzu. Mnie, gdy przybył i zawołał do siebie, mówił o zmartwychwstaniu, płacząc i modląc się nad Twoim ciałem.

Łazarz: Zdawało mi się, że jakby z otchłani dochodzą mnie słowa tej modlitwy, a raczej wezwania do tego, bym porzucił wszystko, z czego do tej pory czerpałem garściami, od czego się uzależniłem i na czym opierałem swoją wartość. Głos zapewniał, że otrzymuję teraz Nowe Życie i Wolność.

Marta: Pamiętajcie słowa, którymi mnie napomniął, gdy tak bardzo chciałam go godnie ugościć? Myślałam wtedy, że to jest najważniejsze, że trzeba pracować, że trzeba się starać, by inni dobrze o mnie myśleli. Musiałam być wzorową gospodynią, musiałam się o wszystko troszczyć. A On po prostu kazał mi to zostawić... Nie mogłam znieść tych słów, cały czas je w sobie słyszałam. Klóciłam się z nimi, nie zgadzałam się z Jego zdaniem, walczyłam uparcie o „swoje”.

Łazarz: To wszystko umarło. Nasze nieprawdziwe życie już nas nie krępuje!

Maria: Jakie to niesamowite, że taka śmierć daje wolność.

Łazarzu! Marto! Jesteśmy wolni! Teraz już żyjemy!

Łazarz: Musimy zgodzić się na śmierć, by razem z Nim powstać z martwych!

**Biegnijmy, biegnijmy i my umrzeć i zmartwychwstać razem z Nim!
On zmartwychwstanie i Przyniesie pokój.**

„... między tymi, którzy doświadczyli, umarli i pojęli...”

Adam Wiktor Siedlecki

Para dłoni

prawa podnosi mnie
lewa gładzi mój policzek
uzdrawiające powstanie
lubię ten dotyk
miłosierdzia

1993 r.

Adam Wiktor Siedlecki

Po przebudzeniu

sen odpoczynek
śmierć wieczny odpoczynek w Bogu

zbudzisz mnie raz ostatni
i zmartwychwstanę
ku życiu
czy ku śmierci

21 lutego 2003 r.

POMORSKA DROGA ŚWIĘTEGO JAKUBA I JEJ WYZWANIE EKUMENICZNE...

Tekst

Małgorzata Duda, ks. Paweł Ostrowski

Od wczesnego średniowiecza pielgrzymi przemierzali Europę, aby dotrzeć do grobu świętego Jakuba Starszego – jednego z apostołów. Miejsce wiecznego spoczynku świętego w hiszpańskim Santiago de Compostela znane było na całym kontynencie. To do niego udawali się ci, którzy musieli odpokutować najcięższe winy, m.in. zabójstwa.

Od kilkudziesięciu lat dawne szlaki pątnicze Europy są odtwarzane i na nowo znakowane. W ostatnim czasie również na terenie północnej Polski trwa rewitalizacja szlaku, który pod nazwą Pomorskiej Drogi Świętego Jakuba wiedzie od litewskiej Kretynki przez należący do Rosji Obwód Kaliningradzki, następnie wchodzi w granice Polski. Na terenie naszego kraju na szlaku znajdują się miasta, miasteczka i wsie położone w województwach: warmińsko-mazurskim, pomorskim i zachodniopomorskim (m.in. Braniewo, Frombork, Elbląg, Gdańsk, Lębork, Słupsk, Koszalin, Kołobrzeg, Trzebiatów, Kamień Pomorski i Szczecin). Dalej droga biegnie po terenach Niemiec, w stronę Greifswaldu i Rostoku, a tam łączy się z siecią istniejących wcześniej dróg świętego Jakuba.

Drogi te mają szczególną wartość dla tożsamości kontynentu europejskiego. Są elementem spajającym historię i kulturę, są symbolem wymiany kulturowej zjednoczonej Europy. Znaczenie tychże dróg dla dziedzictwa kulturowego doceniła Rada Europy, ogłaszając je w 1987 roku pierwszym Europejskim Szlakiem Kulturowym i wzywając rządy państw, miast i organizacje pozarządowe do odtworzenia i utrzymywania dróg świętego Jakuba.

Czym jest pielgrzymowanie jakubowe?

Wędrowanie po oznaczonych muszlą drogach jakubowych często odbywa się w pojedynkę lub małą grupą. Dzisiejszy człowiek potrzebuje w ciszy, z daleka od codziennej krzątaniny i zgiełku, być sam na sam ze swoimi myślami. Takie spowolnienie, odwrócenie od bieżących spraw, sprzyja zwrotowi ku duchowości. To nie tylko wędrowka przez interesujące miejsca oddalone o dziesiątki, setki czy tysiące kilometrów od własnego domu, poznawanie kultury innych narodów, lecz także podróż w głąb siebie. Wędrowanie europejskim szlakiem kulturowym to nieocenione bogactwo doznań nie tylko wewnętrznych, lecz także kulturowych.



Fot. Archiwum prywatne

Oprócz kulturotwórczych, turystycznych, ekonomicznych działań w ramach odtwarzanego szlaku zauważyć można działanie ekumeniczne.

Pieszozdroże ze Szczecina do Greifswaldu

W ubiegłym roku grupa śmiałków z Polski i Niemiec przemierzyła odcinek drogi ze Szczecina do Greifswaldu. Kto stanowił tę grupę, która pod auspicjami Fundacji Szczecińskiej wyruszyła na szlak? Byli to polscy pielgrzymi Szczecińskiej Pieszej Pielgrzymki na Jasną Górę, czyli rzymscy katolicy, wraz ze swoim kapłanem oraz ze strony niemieckiej: dwaj ewangelicy, jedna osoba prawosławna, dwaj rzymscy katolicy oraz ateista.

Przez trzy dni pątnicy przemierzyli 104 km. Pogoda dopisała i grupa mogła maszerować od samego świtu aż do zmierzchu. Pytanie o motywację – po co iść? Odpowiedzi były różne. Niektórzy poszli z ciekawości, inni nieco przymuszeni ideą – nie chcieli stracić takiej okazji, jeszcze inni aby odkryć samych siebie. Pierwszy nocleg, ekumenicznie u pastora w Usedom, okazał się świetnym momentem na zawiązanie ponadekumenicznej wspólnoty. Sam gospodarz miejsca okazał się również pielgrzymem, który jednak wędruje w drugą stronę – zachwycony postacią św. Ottona z Bambergu, chrzciciela Pomorza.

Droga okazała się krótka – pomimo pomysłu, aby łączyć dwa etapy w jeden, zmęczenie nie było aż tak dokuczliwe. Po dotarciu do Greifswaldu śmiało mogliśmy stwierdzić – szlak jakubowy istnieje i żyje życiem osób wędrujących. To pielgrzymi nadają charakter drodze jakubowej, a ona pozostawia na nich swoje piętno.

Co wpływa na decyzję o wyruszeniu w drogę? Nie zawsze motywacją są pobudki religijne, ale ostatecznie przez świętego Jakuba ludzie odkrywają Boga.

Być może i Ty, Bracie i Sostro z jakiegokolwiek wspólnoty chrześcijańskiej, wyruszysz w Drogę. Życzymy, abyś na nowo odkrył/odkryła siebie i Boga, a może spotkamy się wspólnie na tym szlaku.

Buen camino!

FLORIBETH MORA DIAZ: USŁYSZAŁAM „PODNIĘĆ SIĘ. NIE LĘKAJ SIĘ”

Bezpośrednim przypadkiem, który sprawił, że bł. Jan Paweł II zostanie świętym 27 kwietnia 2014 roku było niewytłumaczalne z medycznego punktu widzenia uzdrowienie Kostarykanki Floribeth Mory Diaz. To właśnie ten cud uznano w procesie kanonizacyjnym papieża Polaka.

– To było 1 maja 2011 roku. Byłam już sparaliżowana. A lekarze dawali mi miesiąc życia. Gdy się obudziłam, usłyszałam głos: „Podnieś się. Nie lękaj się” – mówi Floribeth w rozmowie z korespondentem RMF FM Pawłem Żuchowskim, który odwiedził cudownie uzdrowioną kobietę. Miała nieoperacyjnego tętniaka z prawej strony mózgu, co spowodowało paraliż lewej części ciała.

Zapraszam na rozmowę byłego dziennikarza Radia Szczecin, bardzo mocno związanego z naszym miastem, Pawła Żuchowskiego z Floribeth Morą Diaz dla Radia RMF FM.

Dziękuję Pawłowi za udostępnienie obszernych fragmentów wywiadu i zdjęć z własnego archiwum.

Piotr Kołodziejski

1 maja, kiedy się obudziłam największym zaskoczeniem dla mnie było, jak z obrazu, który mam na ścianie, wysunęły się jakby ręce papieża Jana Pawła II, mówiącego do mnie, abym wstała – mówi Floribeth – Odpowiedziałam: „Tak, Panie”. Podniosłam się tego dnia i do tej pory jestem na nogach, chodzę. Ale to nie znaczy, że zaraz byłam całkowicie zdrowa. Dlatego, że proces rekonwalescencji postępował z czasem. Bóg pracował ze mną, najpierw dając mi pokój, dlatego że w tym momencie ja czułam dużo pokoju. Zabrał ode mnie strach oraz agonię. Ale byłam pewna, że wyzdrowiałam. I to było najważniejsze dla mnie, mimo że moje ciało mówiło wciąż coś innego. Ja byłam pewna, że jestem zdrowa. I dzięki Bogu, mogliśmy to sprawdzić za pomocą badań lekarskich.

Paweł Żuchowski: Jak bardzo Jan Paweł II zmienił pani życie?

Całkowicie. Ja jestem osobą, która nie od dzisiaj wielbi papieża Jana Pawła II. Powtarzam, że jestem osobą, którą od momentu, kiedy Jan Paweł II był w Kostaryce przyciągał moją uwagę. I to był moment, od którego czciłam Jana Pawła II. To był rok 1983.

Czy zadaje sobie pani pytanie: dlaczego ja?

To pytanie zadaję sobie i też zadają inni dziennikarze ze świata. I tak samo znów odpowiadam. Na to pytanie może odpowiedzieć jedynie Bóg. Bóg, który mieszka we mnie i mnie wybrał. I na to pytanie, tylko może odpowiedzieć Stwórca. Nie ja.

Za chwilę rusza pani do Panamy. Odwiedza pani wiele miejsc, gdzie opowiada pani o tym cudzie. O swojej chorobie i uzdrowieniu. Wszędzie tam przekonuje pani do tego, by ludzie modlili się.

Ja zawsze proszę ludzi, żeby modlili się nie tylko za Jana Pawła II, dlatego, że on jest już w niebie. Trzeba się modlić za tych, którzy są na ziemi. Jesteśmy tymi, którzy potrzebują modlitwy. Papież jej nie potrzebuje, bo on jest już u boku Boga. A my jesteśmy tymi, którzy potrzebują. Musimy się też modlić za księży dlatego, że są również ludźmi i popełniają błędy jak każdy człowiek.

Floribeth Mora Diaz z mężem. Fot. Paweł Żuchowski RMF FM.



Modlili się do Jana Pawła II?

Oczywiście – ja zawsze mówię ludziom w czasie swoich wystąpień, aby prosili o jego pośrednictwo dlatego, że jest świętym, który pośredniczy pomiędzy nami a Bogiem. Dlatego, że on jest w każdym momencie bliżej Boga. Jan Paweł II jest pośrednikiem dla grzeszników. I wysłuchuje naszych błagań.

Jan Paweł II to szczególna postać dla całego pokolenia JP II. Ale jest szczególnie ważny dla całej Ameryki Łacińskiej. Tak mocno wierzącej.

Będzie to zaszczyt i honor dla całego świata, że Jan Paweł II, tak jak krzyczano w dniu jego śmierci Santo Subito – natychmiast święty, będzie świętym. I musieliśmy na to czekać. Ale jednak dla nas wszystkich będzie zaszczytem, że papież z Polski będzie świętym. Zawsze podkreślaliśmy Santo Subito. I będzie świętym teraz. Ale dla nas, którzy wierzą w jego pośrednictwo jest już święty. Ameryka Łacińska kocha go w szczególny sposób bo on dawał nadzieję.

Fot. Paweł Żuchowski RMF FM.

